

Egokracja



Seks, biznes, polityka. Każda z tych ludzkich aktywności może służyć dla wspólnego dobra, każda z nich może też – częściej – służyć do zaspokojenia indywidualnych, ludzkich namiętności. Żadna z nich nie jest zatem zła lub dobra sama w sobie, ale – jak każda z ludzkich aktywności – swoją wartość zawdzięcza intencjom i celom, dla których zostanie wykorzystana.

W kulturze opartej na wzajemnym zrozumieniu potrzeb całej wspólnoty, każda z tych trzech aktywności przyczynia się do dobra większej całości. W ustroju, który moglibyśmy nazwać „egokracją”, czyli takim, w którym liczy się wyłącznie zaspokajanie potrzeb własnego „ja”, moje indywidualne dążenie do własnego szczęścia i własnej przyjemności, seks, biznes i polityka łatwo stają się nie narzędziami wspólnego dobra, ale samodzielnego zła.

Seks wydaje się najbardziej oczywistym przykładem. Jeżeli jest „skierowany na zewnątrz” (miłość do żony / męża, przekazywanie życia), jego esencją staje się dawanie miłości – tego bezinteresownego daru z samego siebie – a nie branie przyjemności. W społeczeństwie egokratycznym, podstawową funkcją seksu staje się jednak niemal wyłącznie zaspokajanie indywidualnych potrzeb i żądz. Prężnie rozwijający się przemysł antykoncepcyjny spowodował, że przyjemność seksualną udało się wreszcie skutecznie oddzielić od niepożądanego skutku ubocznego w postaci ciąży. „Każdy ma prawo do orgazmu” – jak śpiewał przed laty Piotr Bukartyk.

Podobne dylematy – zaspokojenie własnych pragnień czy działanie zorientowane na innych – towarzyszą również działalności biznesowej. Przedsiębiorczość – kultura protestancka mówi o tym może nieco wyraźniej niż katolicka – jest niezwykle istotnym czynnikiem rozwoju społeczeństw. Przedsiębiorca, rozwijając prowadzoną przez siebie działalność, staje się jednocześnie pracodawcą, zapewniając tym samym byt swoim pracownikom i ich rodzinom. Dobra i usługi dostarczane przez przedsiębiorstwa tworzą wartość dodaną dla ich odbiorców, umożliwiając zaspokojenie potrzeb kupujących. To dzięki podatkom płaconym przez przedsiębiorców i zatrudnianych przez nich

pracowników możliwe jest finansowanie publicznych szkół, uniwersytetów, szpitali, policji czy armii. Sama praca zawodowa – dotyczy to szczególnie pracy umysłowej – nie jest też przecież tylko sposobem na zarabianie pieniędzy, ale stanowi istotny element intelektualnego rozwoju człowieka. Biznes może być zatem działalnością niezwykle pożyteczną, jeżeli towarzyszy mu rozumna troska o wspólne dobro całego społeczeństwa, jeżeli jego treścią jest pozytywny rozwój.

W egokratycznym kapitalizmie jednak, podstawowym motorem działalności biznesowej staje się indywidualna chciwość właścicieli i menedżerów. Takie podejście odziera z godności konsumentów i pracowników, czyniąc z nich jedynie narzędzia służące pomnażaniu osobistego majątku biznesmenów. Esencją działalności biznesowej wynikających z indywidualistycznych, egoistycznych pobudek staje się maksymalizacja zysku i jak największa akumulacja kapitału, nierzadko innych podmiotów brutalnej gry rynkowej. Bezwzględna walka konkurencyjna, wyzysk pracowników, wreszcie nieuczciwe praktyki (np. korupcja) służące maksymalizacji przychodów i minimalizacji kosztów prowadzą do patologii, której filmowym symbolem może być słynna postać Gordona Gecko z „Wall Street” Olivera Stone’a, a współcześnie – Bernard Madoff, skazany na wielokrotne więzienie za wielomiliardowe malwersacje finansowe. Ostatecznie, to chciwość bankierów i taka żądza pieniądza, przy której pękają wszelkie hamulce i zasady moralne, była jedną z pierwotnych przyczyn globalnego kryzysu finansowego, którego skutki odczuwamy do dziś.

I wreszcie, dochodzimy do polityki, która – trudno w to dziś uwierzyć, prawda? – też może i powinna służyć wspólnemu dobru. Tu dochodzimy jednak do paradoksu. W egokratycznym, liberalnym

społeczeństwie, w którym indywidualna wolność urasta do rangi wartości najwyższej, a każdy chce być panem własnego losu, idealna polityka to taka, której nie ma. Podstawą każdej władzy jest przecież narzucanie rządzonym woli rządzących, a jak sprawować rządy w społeczeństwie, w którym każdy chce być swoim sterem, okrętem, żeglarzem (i oceanem – dodałby złośliwy)?

Paradoks władcy w społeczeństwie egokratycznym sprowadza się do tego, że chociaż sprawowanie władzy jest dla niego sposobem na zaspokojenie swojej indywidualnej żądzy – właśnie żądzy władzy, to rządzenie społeczeństwem, które nie chce być rządzone, jednocześnie naraża go na owej władzy utratę. Ponieważ dla takiego władcy motorem działania (lub jego braku) nie jest dobro wspólne, ale paraliżujący strach przed utratą własnej władzy i pozycji, nie będzie on nigdy zdolny do niepopularnych reform, które co prawda mogą się przyczynić do poprawy dobrobytu społeczeństwa (nawet jeżeli niechętnie zmianom społeczeństwo nie zdaje sobie z tego sprawy), ale w krótkiej perspektywie mogą doprowadzić do przegranej w kolejnych wyborach. Na dodatek, im trudniej było władzę zdobyć, tym większy lęk przed jej utratą.

Smutny jest jednak los tego, który ma władzę, ale boi się jej użyć aby nie stracić władzy. Dopóki rządzone przez niego społeczeństwo jest w miarę samowystarczalne, a większość obywateli może samodzielnie zadbać o swój indywidualny dobrobyt, dopóty rządzący może się cieszyć swoją formalną władzą w miarę bezpiecznie, nie niepokojony zbyt przez zajętych sobą obywateli. Jeżeli jednak jakieś okoliczności zewnętrzne (np. międzynarodowy kryzys gospodarczy lub skutki zaniedbań w reformowaniu państwa) bezpośrednio dotkną tych, którzy powierzyli mu władzę, wówczas gniew ludu łatwo może się obrócić

przeciwko leniwemu władcy. A tam, gdzie na reformy jest już za późno, w konfrontacji z milionami niezadowolonych jednostek, zakochany we władzy władca ma tylko dwa wyjścia – ucieczka lub dyktatura.

Przemysław Pięta